

Dobry car i nowi mieszczanie

25 marca 2013

Kilka dni temu Instytut Obywatelski opublikował raport dotyczący partycypacji społecznej w miastach. Najważniejszymi ze zdiagnozowanych problemów były praktyczne jedynowładztwo prezydentów miast, szczególnie tych wielkich, fasadowość demokratycznych procedur oraz iluzoryczna możliwość społecznej kontroli nad nimi. Dla osób zajmujących się kwestiami miejskimi nie jest to wszakże nic nowego – od lat spotykamy się i walczymy z różnym szczęściem z tym zjawiskiem, usiłując mu się przeciwstawić. Niestety źródła tej sytuacji mają naturę systemową i niełatwo ją zmienić.

Prezydent miasta ma wedle obecnie obowiązujących przepisów władzę zakrojoną niezwykle szeroko. Oficjalnie będąc jedynie wykonawcą tego, co postanawia ogół mieszkańców poprzez swoich przedstawicieli, czyli radnych, w praktyce jest pomysłodawcą i motorem przeróżnych inicjatyw i inwestycji, radzie miejskiej pozostawiając jedynie funkcję zatwierdzającą. Jest to tym łatwiejsze, im więcej jest radnych – często anonimowych i pojedynczo zupełnie bezsilnych. Głos jednego czy dwójki radnych nie znaczy niemal nic, szczególnie gdy za prezydentem stoi zdyscyplinowany klub lub koalicja go popierająca. Nawet jeśli ten pojedynczy radny niezgadza się z prezydenckim pomysłem pochodzi z klubu sprawującego w mieście władzę, to jego pozycja nie jest wiele lepsza. Jedyne, co może zrobić, to usiłować lobbować kuluarowo wśród partyjnych kolegów, wciąż jednak mając przeciw sobie prezydenta znacznie lepiej osadzonego w środowisku oraz jego zauszników. Radny opozycyjny nie ma nawet tej możliwości, a co dopiero radny niezależny, bezpartyjny.

Prezydent wielkiego miasta jest praktycznie nieodwołalny i musi naprawdę bardzo się postarać, aby stracić stanowisko. Procedura odwoławcza jest trudna i bez posiadania wsparcia którejś z partii politycznych mieszkańcy nie mają co myśleć o

jego odwołaniu, gdyż zwyczajnie nie będą w stanie podołać temu pod względem logistycznym. Ilość potrzebnych głosów idzie w dziesiątki i setki tysięcy, a czas jest krótki. Daje to prezydentom niezwykle komfort czteroletniej nieusuwalności, nieznany nawet premierom. Ta praktyczna „nieśmiertelność” ma swoje jasne i ciemne strony. Oczywiście zapewnia stabilność i pozwala przeprowadzać wieloletnie projekty bez oglądania się co chwila na możliwość odwołania i życia w rytmie nieustającej kampanii przedwyborczej, bez zwracania uwagi na słupki popularności. Jest to jednak zatruty nektar, bo łatwo zapomnieć o woli wyborców, licząc na to, że za 2-3 lata ludzie nie będą już pamiętać.

Prezydent miasta, uwolniony od bieżącej kontroli mieszkańców i ich przedstawicieli, którzy wedle nowych przepisów pozbawieni zostali nawet możliwości udzielania mu absolutorium, staje się bytem niezależnym i samowładnym. Wyposażony w niemal nieograniczony zakres kreowania miejskiej przestrzeni może działać praktycznie dowolnie, dbając jedynie o to, żeby od czasu do czasu większość radnych zagłosowała zgodnie z jego uznaniem. Tylko od jego dobrej woli i własnych przekonań zależy, czy będzie oświeconym autokratą, czy też bezwzględny zamordystą, w białych lub mniej białych rękawiczkach, sprawującym w mieście władzę absolutną. Władza dana prezydentowi jest jak Jedyny Pierścień znany z trylogii Tolkiena „Władca Pierścieni” – kusi każdego i potrzeba ogromnej siły woli, aby ją od siebie odsunąć. Jeśli się jednak ją przyjmie, ulegnięcie jej staje się tylko kwestią czasu.

Nie bez powodu odwołałem się do tolkienowskiego świata. Oto mamy wiceprezydenta Łodzi, Radosława Stępnia, który jeden z wymyślonych przez siebie projektów określa mianem „nowego Shire”. Projekt ten zakłada stworzenie na zachodzie miasta wielkiego, czterystuhektarowego kompleksu rekreacyjno-wypoczynkowego, w skład którego wejdą dzisiejsze ogród zoologiczny, ogród botaniczny, park na Zdrowiu i dawny wojskowy poligon na Brusie, zakupiony kosztem ponad 70 mln zł.

Projekt ten wart jest 200 mln zł, z których większość ma pochodzić z Unii Europejskiej, ale samo miasto musi na niego przeznaczyć co najmniej 40 mln. Dzieje się to w sytuacji, gdy zdecydowana większość budynków komunalnych w centrum miasta jest w złym albo bardzo złym stanie technicznym, a mająca służyć mieszkańcom komunikacja miejska praktycznie dogorywa, pełniąc na wielu odcinkach już tylko funkcję socjalną. Mimo to łódzkie „Shire” posiada ogromną szansę na powstanie, bo nie ma siły zdolnej powstrzymać wiceprezydenta przed realizacją jego planu. Nie zrobią tego mieszkańcy, nie zrobią też tego radni, którzy dostaną gotowy projekt do przegłosowania. Mógłby to zrobić prezydent miasta, ale tego nie robi, bo gdyby był przeciwny, to pomysł nie doczekałby się ogłoszenia. W tej sytuacji szafarzem staje się ministerstwo rozwoju regionalnego, rozdzielające unijne fundusze – ale i tu mamy do czynienia bardziej z konkursem piękności i ważeniem sił różnych prezydentów miast niż z wsłuchiwaniem się w prawdziwe potrzeby obywateli.

W tej sytuacji mieszkańcy nie są w stanie wiele zdziałać. Mogą oczywiście wziąć udział w konsultacjach społecznych, pracownicy wypisując swoje uwagi w formularzach konsultacyjnych i mając nadzieję, że prezydent miasta się do nich pozytywnie ustosunkuje. Mogą też szukać szczęścia i osobiście dyskutować czy to z prezydentem, czy to z którymś z jego moźnych – w cztery oczy lub na portalu społecznościowym, poprzez który paradoksalnie łatwiej jest dotrzeć do ważnej osoby niż tradycyjnymi drogami. Mogą też się zorganizować i próbować wspólnie wpływać na sytuację w mieście, zgodnie z zasadą, że grupa może więcej. I faktycznie robią to.

Od pewnego czasu obserwujemy prawdziwą eksplozję tzw. ruchów miejskich. Ludzie w nich skupieni czują się gospodarzami swoich miast, czują się za nie odpowiedzialni i żyją ich życiem. Dają od siebie bardzo wiele, dzieląc się ideami, wiedzą (często ekspercką) i wolnym czasem – najczęściej bezpłatnie i z partyjno-politycznego punktu widzenia zupełnie

bezinteresownie. Samoorganizują się w stowarzyszenia, fundacje lub nieformalne grupy, walcząc na co dzień z ograniczeniami, jakie stawia przed nimi ustawodawstwo dotyczące trzeciego sektora. Niekiedy działają w prawnej próżni, dopiero wykuwając nowe rozwiązania, czasem działają też poza prawem, walcząc np. z wszechobecną reklamą (niszczenie billboardów czy głośna ostatnio akcja oblania farbą witryn drogich sklepów w Warszawie) czy dopiero wymuszając legalizację jakichś zjawisk (akcja „Nielegalne przejście, które chciało być zebra” w Łodzi lub również tamtejszy „Zebra bomber”).

Miejscy aktywiści nie są grupą jednorodną. Dzieli ich poglądy na temat samego działania, jak i na temat tego, jak osiągać cele. Jedni stoją całkowicie po stronie legalności działań, inni decydują się na miejską partyzantkę w szarej strefie. Jedni chcą osiągnąć swoje założenia, lobbując u polityków i pisząc projekty nowych praw, inni decydują się na powolną pracę u podstaw i poszerzanie własnej bazy. Podziały te idą nieraz w poprzek samych organizacji, doprowadzając do napięć i tarć, ale też i twórczej dyskusji, i wymiany myśli. Również temu celowi służy zwołany z inicjatywy stowarzyszenia My Poznaniacy Kongres Ruchów Miejskich, którego druga edycja zorganizowana w Łodzi zgromadziła ponad 200 aktywistów reprezentujących ponad 100 organizacji z całej Polski.

Tak dynamicznie rozwijające się stanowisko nie mogło ująć uwadze polityków, przynajmniej niektórych. Na razie przyglądają się im i starają analizować, również poprzez powiązane ze sobą organizacje i przybudówki, partyjne think-tanki i ośrodki myśli. Opisują swoim językiem ich środowisko, definiując je wedle własnych potrzeb i wyjmując z niego to, co dla nich wygodne. Pod tym względem wspomniana przeze mnie publikacja Instytutu Obywatelskiego i towarzyszący jej medialny oddźwięk są szczególnie cenne, ponieważ pokazują możliwe kierunki, jakie przed nimi stoją. W kolejce po miejskich aktywistów ustawiają się następne partie i środowiska, usiłując ich do siebie przyciągnąć i przekonać.

Będziemy świadkami głośnych transferów i nieoczekiwanych nawróceń, odnajdzie się też wielu myślicieli, którzy już teraz ustawiają się w kolejce po tytuł pierwszego, który opisał ruchy miejskie, i którzy głośno będą krzyczeć, że to my, my, my jesteśmy ruchami miejskimi i to my mamy prawo do miasta, a nie wy.

Tymczasem prezydenci miast zauważyli ruchy miejskie już jakiś czas temu i starają się je kanalizować. Wchodzimy w to, uczestnicząc w konsultacjach społecznych i różnego rodzaju mniej lub bardziej formalnych spotkaniach i ciałach doradczych. Opiniujemy różne dokumenty i strategie, dając od siebie wiedzę i pomysły, które czasami bywają wykorzystywane. Inwestujemy czas i dostajemy na zachętę drobne ustępstwa, szczególnie tam, gdzie ani prezydent, ani żaden z jego mandarynów nie upatrzyli sobie prywatnego pola zainteresowania. Można nam ustąpić tam, gdzie w grę wchodzi dziesiątki czy setki tysięcy złotych, ale już nie tam, gdzie kwoty liczą się w dziesiątki i setki milionów. Można ustępować, a nawet współpracować w sferze kultury, można dać budżet obywatelski, stanowiący procent lub dwa w skali całego miejskiego planu finansowego, można rzucić milion czy dwa na ścieżki rowerowe, ale nie ma co marzyć o tym, żeby prezydent ustąpił tam, gdzie mamy do czynienia z kolejną śmiałą inwestycją – czy to będzie trasa, stadion czy nowy dworzec. Tutaj spotykamy się z żelazną pięścią, czasem tylko dla niepoznaki obleczoną rękawiczką. Nie mamy sił ani środków, aby się temu przeciwstawić, nie mamy też często możliwości, żeby przebić się z naszym przekazem do opinii publicznej. W obliczu nowej, wspaniałej inwestycji, za którą stoi woła prezydenta, wszystkie ustalenia tracą moc. Strategie, tak długo ucierane i konsultowane, stają się tylko świstkami papieru, z których treści złotouści prezydenccy rzecznicy potrafią wysnuć uzasadnienie wszystkiego, kłócąc się o kropki i przecinki. Nie trzeba ani analiz, ani studiów, zresztą zawsze można jakieś zamówić, a jeśli ich wyniki się nie spodobają, to można zerwać umowę (jak w Łodzi na studium systemu komunikacyjnego miasta)

i rękami własnych ekspertów napisać kolejne.

Jednak miejscy aktywiści nie są jedynymi, którzy zabierają głos. Coraz częściej oczekiwania artykułuje także młoda miejska burżuazja, świadoma własnych praw i potrzeb – i głośno domagająca się realizacji swoich postulatów. Obie grupy łączy to, że uważają, iż mają prawo do miasta. Dzieli ich to, że według miejskich aktywistów przysługuje ono całej społeczności lokalnej, nowi mieszczenie zaś widzą przede wszystkim swoje prawo i korzyści. Ci pierwsi walczą o miasto jako jednorodny organizm, skupiając się na pożytku wszystkich jego mieszkańców, ci drudzy walczą głównie o siebie i swój klasowy interes. Osią podziału są empatia i społeczna świadomość, zdolność wyjścia poza swoją klasę społeczną i poza swoją grupę, umiejętność oceny, czy to, że „moja” przestrzeń stanie się dokładnie taka, jak sobie tego zażyczę, nie zaszkodzi miastu jako przestrzeni, w której żyją wszyscy jego mieszkańcy.

Nowi mieszczenie są prezydentowi wygodni. Owszem, bywają irytujący i czasem kopią go po kostkach, ale są przecież systemowi. Działają w ramach systemu i nie pragną zmieniać jego zasad. Pragną drobnych zmian, sobie dogodnych, ale nie dążą do przemodelowania lub obalenia całej struktury. Są konserwatywni, pragną przede wszystkim porządku i spokoju, czystości i schludności. Chcą, aby ich miasto było dostatnie i normalne, wystrzegając się niepokoju i bałaganu. Sytuacja przez nich zastana całkowicie usprawiedliwia ich dążenia – w polskich miastach panuje nieporządek, brakuje planowania przestrzennego, każdą wolną powierzchnię zajmują wszechobecne reklamy, a na ulicach zdarzają się biedacy i żebracy. I właśnie kiedy z tymi ostatnimi przychodzi się nowym mieszczanom spotkać, najsilniej wychodzi zarysowany wyżej podział. Nowi mieszczenie nie czują z nimi żadnego związku, chcą się ich pozbyć. Chcą „odżulić” centrum, wyrzucając z niego ludzi ubogich, których nie stać na czynsz i opłaty. Nie chcą rewitalizacji, która oznacza długotrwałą pracę z

mieszkającymi tu ludźmi – chcą remontu i odnowienia budynków oraz zasiedlenia ich „świeżymi”, ludźmi podobnymi sobie, nieźle sytuowanymi i posiadającymi określony kapitał, tak pieniężny, jak i kulturowy.

Boją się jednak do tego przyznać, bo rewitalizacja i jej idee dość głęboko już zapuściły korzenie, a gentryfikacja jest niemożliwa i wstyd się do niej przyznać. Dlatego też nowy mieszkanin zasłania się obiektywnymi trudnościami i obowiązującym prawodawstwem, które nie zostawia wiele przestrzeni. Mówi z przekonaniem o rewitalizowaniu całych dzielnic, ale na co dzień pozwala na to, aby miasto dokonywało punktowych remontów, niemal zawsze wiążących się z wypchnięciem dotychczasowych mieszkańców do innych miejskich budynków i zastąpieniem ich ludźmi bogatszymi lub „kreatywnymi”. Mówi o zrównoważonym rozwoju, ale nie protestuje przeciwko otwarciu kolejnej galerii handlowej wypierającej małe sklepy czy osiedlowych handlarzy, których miejsca pracy określa pogardliwie „budami”. Nowy mieszkanin wystrzega się ideologii, przedstawiając siebie jako osobę rozsądną, daleką od polityki, ale w rzeczywistości jest głęboko zanurzony w neoliberalnej doktrynie obowiązującej w Polsce w ostatnim dwudziestolecie.

I tak oto zawiązuje się specyficzna symbioza. Z jednej strony mamy oświeconego Prezydenta, wybieranego na kolejną już kadencję, doskonale umocowanego w miejskiej przestrzeni, przybierającego maskę Dobrego Cara, który przecież zawsze chce dobrze i który prowadzi poddanych ku świetlanej przyszłości. Od czasu do czasu przeszkadzają mu źli urzędnicy, których głowy raz na jakiś czas przyozdabiają szpalty gazet, gdy ich czas na dworze dobiega końca. Z drugiej strony stają Nowi Mieszkańcy, pragnący spokoju i porządku, żeby było dostatnio, żeby były zamiecione chodniki, wyremontowane fasady budynków i żeby główna ulica miasta lśniła granitem i modnymi markami. Dobry Car daje Nowym Mieszkańcom poczucie stabilności i spokoju, oni mu zaś oferują społeczną legitymację i możliwość

działania zgodnie z zasadą „dziel i rządź”. Dzięki nim Dobry Car ma opozycję konstruktywną, którą może ustawić w kontrze do tej niekonstruktywnej, roszczeniowej, dążącej do zmiany status quo.

Ostatecznym efektem tej symbiozy jest to, że prawo do miasta przysługuje głównie tym, którzy już się na nim uwłaszczyli. To, co pozostało niezajęte, staje się polem walki i przepychanek, na którym zwyciężają najsilniejsi. Polityka miejska, rewitalizacja, zrównoważony rozwój i wszystkie te mądre słowa stają się wygodnymi wytrychami, za którymi daje się ukryć szerokie arterie, stadiony, parki rozrywki, handlowe galerie i wieżowce, bez wyjątku drenujące miejskie budżety w imię biznesowego podejścia prezydenta i jego świty.

I tak oto rzeczywiście budzimy się w Shire. Ale nie w tym wymarzonym i sielankowym, lecz w tym zniszczonym, zdewastowanym i obcym, w którym nic nie jest takie, jak byśmy chcieli.

Autor: Jarosław Ogródowski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Jarosław Ogródowski (1983) – społecznik i działacz miejski, członek komitetu organizacyjnego II Kongresu Ruchów Miejskich w Łodzi, współtwórca Ruchu Społecznego Szacunek dla Łodzi, działacz Towarzystwa Opieki nad Zabytkami i Stowarzyszenia Fabrykancka.